№ 55

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 12 LIPCA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1835.

ŹRÓDŁA ROŚLINNE,

WYJĘTE Z PRYWATNEGO DZIEŁKA PISANEGO DLA DZIECI.

Dzień był przepyszny: najlżejszy obłoczek nie ćmił jasnych słońca promieni, żaden wietrzyk nie kołysał liściami drzewin, cała natura w głębokim zostawała spoczynku; kiedy niekiedy tylko polny konik krzykliwym śpiewem odzywał się z pośrodka łanów, i uroczystą ciszę południa przerywał. Mały Bronisław, wyszedłszy z ojcem o świcie z Warszawy, obiegł wszystkie zakąty bielańskiego boru, nazbierał pęk dzikich kwiatów do zielnika, ułowił kilka przepysznych motyli, pomodlił się w kościołku, zwiedził klasztor Ojców Kamedułów, ich ogrody i pasieki; w zachwyceniu przypatrywał się małej kaskadzie, która w oczach jego wydawała się cudem natury, i wzdłuż nadbrzeża Wisły, drogą sadzoną dębami, wracał do Warszawy. Upał był nieznośny, zmęczony Broncio gwałtowne uczuł pragnienie. »Ojcze, — zawołał, — co-za szkoda, że w tym prześlicznym bielańskim borze nie ma wody! tak jestem spragniony! od godziny już zjadłem ostatnią winiówkę z całego zapasu owoców, który wzięliśmy z sobą; o! co-za szkoda, że tu nie ma zdroju!« — »Nieco cierpliwości, Bronisławie, — rzekł ojciec; — może też gdzie źródło napotkamy.«

Coraz dalej dębową postępowali aleją; pragnienie coraz bardziej dokuczało Brońciowi, lecz pomny na przestrogi ojca, starał się znosić je cierpliwie. Wtem postrzegł cudownej piękności motyla; skrzydła miał ciemno-purpurowe, a na każdym po wielkim oku, ubarwionem wszystkiemi kolorami tęczy: było-to dzienne pawie oko. Bronisław rzucił się za nim jak strzała; motyl spoczął na powoju oplatającym pień starej wierzby; stulił skrzydełka, i delikatną trąbkę zapuścił w kielich kwiatowy; gdy się napawał jego nektarem, Broncio cichutko przybliżył się do drzewa, wyciągnął rączkę i ułowił szczęśliwie pożądaną zdobycz. Przypiął go na kapeluszu z tryjumfującą postawą zdobyczy, i już wracał uwiadomić ojca o swojem uszczęśliwieniu, gdy nagle łagodny szmer wody obił się o jego ucho; zachwycony bieży ku stronie, zkąd go posłyszał, i postrzega w załomie, który wieńczą w około wyniosłe drzewa, napiętrzone jedne ponad drugiemi, źródło wytryskujące przez rurkę mosiężną. Spieszy ku niemu, i naczerpawszy wody po kilkakrotnie w małą rączkę, gasi dokuczające mu pragnienie.

Tymczasem ojciec zwolna za nim postępując, nadchodzi: — A co, Bronisławie! wszak ci mówiłem, żebyś był trochę cierpliwy. — Jakże przyjemnej ochłody użyczyła mi ta woda! Ach! jakże Bóg jest dobry; tak mię straszliwie dręczyło nieznośne pragnienie! Ojcze mój, jakże muszą bydź nieszczęśliwi mieszkańcy pustyń południowych, o których wczoraj czytaliśmy w tej ładnej książce z obrazkami; wszak prawda, ojcze, że tam niekiedy przez mil kilkadziesiąt nie napotyka się ani jednego źródła? — Zapomniałeś synu o nieskończonej dobroci Boga? Wszechmocny i dobroczynny Twórca przewidział z niepojętą mądrością najmniejsze potrzeby tworów swoich, i cudownemi zaradził im sposoby. Jeżli w piaszczystych pustynjach Afryki i Azyi nie

masz krynic i strumieni, są za to w obfitości źródła roślinne, dostarczające najczystszej wody.— Źródła roślinne, ojcze? nie rozumiem dobrze tego.—Wytłumaczę ci, skoro przyjdziemy do domu. — Ojcze, teraz słońce w samem południu, upał tak nieznośny; siądźmy tutaj w cieniu dąbrowy na kamieniu mchem wysłanym; racz mi opowiedzieć o tych cudownych źródlach, które tak ciekawy jestem poznać. — Ojciec z łagodnym uśmiechem przychylił się do proźby Bronisława; siadł obok niego na umszonym kamieniu i tak mówić zaczął:

»Dziecię moję, sposób, jakim Opatrzność zapobiegła pragnieniu człowieka w najdzikszych pustyniach, godnym jest podziwienia. W pałających piaskach Afryki umieściła roślinę, której szerokie liście zwijają się na kształt lejka; lejek ten pełny jest znowu najświeższej wody, która w skwarne upały niesie ochłodę mieszkańcom tych stepów dzikich. — Liście zwinione jak lejki i pełne czystej wody! co-za sposób przedziwny! Lecz, ojcze kochany, woda ta, na żar słoneczny wystawiona, prędko się zagrzeje i przyjemność swoją utraci. — Przewidziała to mądra natura, moję dziecię, i zapobiegła temu: samorodną tę czarę zakrywa zgięty koniec liścia, aby woda nie zagrzała się lub całkiem w parę nie ulotniła od upału. Nie dosyć na tem, mój Bronisławie, iż podaje ludziom puhary napoju, lecz także wielkie jego zachowuje zapasy. Zasadziła w nieurodzajnych tej krainy stepach drzewo ogromne, które murzyni zowią Boa. Pień jego nadzwyczajnej grubości wydrążony jest wewnątrz naturalnie jak studnia; w porze dżdżystej napełnia się wodą, i w zupełnej ją zachowuje świeżości podczas największych upałów, za pomocą szerokich i gęstych liści, wieńczących jego wierzchołek. — O! mój ojcze! jakże Bóg dobry, jak litościwy, z jakże ojcowską czułością zaspokaja potrzeby ludzi! — Opatrzność najwyższa nie przepomniała żadnej krainy, i wszędzie pod innemi kształty dary swoje ukazuje. Na dzikich nawet skałach Antyllów umieściła źródła roślinne. Po urwiskach najostrzejszych głazów czepia się liana, zwana lianą wodną, tak pełna soku, iż urznąwszy nawet najmniejszą gałązkę, wypływa z niej natychmiast tyle wody, ile potrzeba na zaspokojenie pragnienia; woda ta jest bardzo czysta i niezmiernie smaczna. Na wybrzeżach zatoki Kampejskiej inną pomoc znajduje wędrownik: pochyłe to wybrzeże w porach dżdżystych zupełnie prawie zatopione jest wodami, a w czasie suszy tak dzikie, iż myśliwcy zbłąkani w lasach, któremi jest okryte, nieraz umierali z pragnienia. Sławny *Dampier* pisze w swoich podróżach, że kilka razy uniknął tego nieszczęścia za pomocą rośliny nadzwyczajnej, którą mu krajowcy okazali na pniu drzewa z gatunku jodeł, co w tej zatoce bardzo jest pospolite. Roślina ta podobna jest do pęku liści napiętrzonych jedne ponad drugiemi, kształt jej i drzewo, na którem wyrasta, dały jej nazwisko szyszki jodłowej. Szyszka ta pełna jest wody; przebiwszy ją u spodu nożem, wytryska z niej natychmiast dobra kwarta wody, czystej i niezmiernie zdrowej. Ojciec *Du-Tertre*, który zwiedził amerykańskie pustynie, opowiada, że nie raz znalazł podobny zasiłek w liściach zwinionych w trąbkę drzewa baliziowego, które okrywa piaszczyste wybrzeża Gwadalupy.«

»Czy wiesz, Brońciu, że i w naszych krajach liście nawet niektóre mają moc chłodzącą; myśliwi francuzcy powiadali mi, że nic lepiej nie gasi pragnienia, jak liście jemioły, która wyrasta na starych gałęziach dębów. Ja sam na własne widziałem oczy, w naszym nawet ogrodzie, jak małe ptaszęta piły wodę, która po deszczu zatrzymała się w załomach liści ostowych.«

»Rośliny dostarczające wodę są bardzo pospolite, szczególniej w pustyniach i krainach gorących. Zdaje się, jakoby natura ze zbytkiem je po nich rozrzuciła, nie tylko aby służyły do użytku człowieka, ale i do użytku zwierząt. Chłodzące ich soki utwarzają się pod wpływem promieni słonecznych, i zachowują wbrew wszystkich praw fizyki, która chce, ażeby płyny ulotniały się przez działanie gorąca. Tak w pałających pustyniach Ameryki wznosi się Melokaktus, którego najeżona kolcami kora ukrywa źródło wody czystej i kwaskowatej. Tak Hottentoci gaszą pragnienie ssąc wilgotną łodygę rośliny *albuca major*. Etyjopija stawia mnóstwo drzew, których owoce podobne są do puharów pełnych woniejącego napoju: takiemi są *gelingi* i *daleby*, które opisali Misyjonarze, błogosławiąc dobroczynną Opatrzność. W Madagaskarze znajduje się Rawinal czyli *drzewo podróżnego*, tak nazwane dla szczególnej własności wydawania znacznej ilości dobrej i słodkiej wody, gdy je przekłuje się u

spodu liści. — Ach! ileż-to cudów, ojcze mój kochany; jakże ci wdzięczny jestem za twoje opowiadanie! Skoro tylko do domu wrócimy, zaraz Wandzie i maleńkiemu Ludomirkowi opowiem wszystko, com od ciebie usłyszał; wiem, że i oni ukontentowanie moje podzielą. — Kiedyś tak dobry, kochany Bronisławie, że o przyjemności siostry i brata pamiętasz, opowiem coś jeszcze szczególniejszego. Posłuchaj: Sławny naturalista *Humbold* odkrył w Karakas, w Ameryce, bardziej jeszcze pożyteczne i bardziej zadziwiające drzewo. Wydaje ono zarazem pokarm i napój: sok bowiem jego jest niezmiernie smacznem i posilnem mlekiem, zkąd nadano mu nazwisko *drzewa mlecznego* albo *krowy roślinnej*. — Jak-to ojcze? mleko! — Tak jest, mleko, dziecię kochane; murzyni pracujący w plantacyjach piją je z chciwością, i utrzymują, że jest bardzo zdrowe i pożywne. Piękne to drzewo ma podobieństwo do amerykańskiej gwiaździstej jabłoni. Liście wązkie, naprzeciw siebie ległe na długich gałązkach, tak właśnie jak na sumaku, który w naszym rośnie ogrodzie, przepysznie uwieńczają jego głowę. Z zarzniętego pnia płynie czyste i dosyć gęste mleko, którego smak i zapach są najprzyjemniejsze; sama tylko lipkość odstręczającą jest nieco dla wikwintnych ust Europejczyka. Murzyni ofiarowali podróżnemu tykwę pełną tego napoju; z upodobaniem pił go wieczorem i naczczo, a najmniejszej w zdrowiu nie doznał odmiany. Na powierzchni mleka wystawionego na działanie powietrza, zsiada się jakowaś gęsta massa, która po kilku dniach kwaśnieje; krajowcy ją nazywają serem. Osobliwe to drzewo zdaje się być przyrodzone całemu łańcuchowi gór Kordyllierów w Ameryce.

Bronisław z zapałem ojca uściskał; przyobiecał uczyć się jak najpiękniej, być ciągle grzecznym, kochać czule siostrę i brata, aby tylko ojciec raczył częściej tak przyjemne opowiadać mu rzeczy. Obiecał mu to ojciec pod tym warunkiem, i obaj, uszczęśliwieni mile przepędzonym porankiem, wesoło wrócili do Warszawy.

PAPROC. *(Ballada.)*

I.

Nad czarnym borem wznoszą się dymy,
(*) jak jeden namiot szeroki,
drzemiące głazy, gdyby olbrzymy
wyciągły szyje w obłoki.

* * *

Świat się w kir odział, wszystko spoczywa,
niekiedy tylko liść spadnie,
czasem milczenie puszczyk przerywa,
gdy księżyc w chmurę zapadnie.

* * *

Już mlecznej wstęgi dobiegły kosy,
sypią brylanty gwiazd krocie.
Pełna-to chwila w tajemne losy,
bo wtenczas kwitną paprocie.

* * *

Wacław śród tłumu utonął myśli,
na dłoni zwisła mu głowa;
bez celu koło kosztúrem kreśli,
bez związku wyrzuca słowa.

* * *

Zamilkł, lecz marzył wsparty o głazy
z sklejoną trudem powieką:
jakieś go we śnie błogie obrazy
łechcą, majaczą i pieką.

* * *

Precz, precz ode mnie, te ćmy, te mary,
lejecie radość śród bolu.
I znów się zerwał, pędził przez jary,
i znowu stanął na polu.

* * *

Ucichły bory i wyżyn garby,
przy drodze kurchan zielony,
a pod kurchankiem ukryte skarby
spostrzega Wacław zdziwiony.

* * *

Nie wiedzą ile było tam złota,
nie zeszłem o tem poszlaki,
czy go zagrzebła wieków ciemnota,
lub skąpiec ukrył go jaki.

* * *

(*) Na żądanie autora niniejszego poematu zachowujemy małe głoski na początku wierszy, jakkolwiek nie podzielamy bynajmniej zdania tego, opierając się na powadze Deputacyi, z grona b. Tow. P. N. do ułożenia przepisów ortograficznych wyznaczonej.
Red.

Lecz się wieść plącze między staremi,
kto uszczknie paproci kwiatek,
ten widzi skarby ukryte w ziemi,
tego się trzyma dostatek. (*)

II.

Wysmukłe charty spuszczone z smyczy
i głośne ogary grają,
wrzask rogów, strzały, wreją po dziczy,
wszędzie ofiary padają.

* * *

Już był myśliwiec i koń zmęczony,
a szczyt gór księżyc ozłacał;
gdy Wacław, tłumem sług otoczony,
do zamku swojego wracał.

* * *

Hej towarzysze, tam przy ruczaju
majaczy jeszcze zwierzyna;
dalej, kto żwawszy, bieżcie do gaju.
Pobiegli — a to dziewczyna.

* * *

Chodź czarnobrewa, w zamku zabawa,
dziś u nas gody, hulanka;
— Puśćcie mnie, puśćcie, ja do Wacława,
do mego śpieszę kochanka.

* * *

Jemu też krasne odsłonisz lica,
podzielisz z nami uciechy,
warta być Księżną taka dziewica,
cha, cha, cha, szerzą się śmiechy.

* * *

A gdy ten i ów z dziewczyny szydził,
Wacław przybiegł rączo z błonia,
czy jej nie poznał, czy się jej wstydził,
nic nie rzekł, — zawrócił konia.

III.

Tak dla Wacława przeciekły lata,
tam lgnął, gdzie niosły go chęci:
utonął z duszą we zbytkach świata,
przeszłość wymazał z pamięci.

* * *

Gawiedź mi plotła, że go przy zgonie
opanowały złe duchy,
nad jego grobem że ogień płonie,
ponieważ umarł bez skruchy.

* * *

Lecz mi staruszek inaczej prawił,
że sterczy kurhan w gaiku:
Raz Wacław w nocy późno tam bawił,
gdy miesiąc był na nowiku.

* * *

I dumał długo; a wtem dziewczyna
z kurhanka wnętrza wystrzeli,
znał ją, była-to piękna Alina,
jak na ślub ubrana w bieli.

* * *

— »Stój, — rzekła, — luby, paproci siła
ustała właśnie w tej dobie,
dla cię ostatnia chwila wybiła,
rwałeś kwiat na moim grobie.

* * *

Kto nie zachował w rozkoszach miary,
nie podał bliźniemu ręki,
źle użył skarbów, ten wieczne kary
i wieczne cierpić ma męki.

* * *

Gdy się to stało, pałacu dachy
obsiadły kruki i wrony:
Dziś w pustkach tylko szermują strachy,
każdy je mija zdziwiony.

* * *

A kiedy księżyc w czasie nowiku
na paproć zlewa promienie,
wtenczas o północ w cichym gaiku
bujają dwa mgliste cienie.

J. M. W...

(*) Krąży wieść między pospólstwem, że kto przypadkiem lub szczególnym trafem zdoła znaleźć kwiat paproci, temu całe życie wszystko się wiedzie; i w każdem miejscu ukryte skarby widzi, lecz kto ich na złe używa, wtedy ginie moc kwiatu, a jego posiadacz wieczne cierpić musi męki. *Autor.*

PRZYPOWIEŚCI KONFUCYUSZA.

Przestrzeń oznaczam wymiarami trzema:
Pierwszym jest *długość*, w kierunku niezmienna
Drugim *szerokość*, która końca nie ma,
Trzecim *głębokość* bezdenna.
Oto trzy wzory życia śmiertelnika:
Niech dąży naprzód, biegu nie przerywa,
I niezmęczonym umysłem przenika,
Gdzie doskonałość przebywa.
W drugim kierunku niech zwróci swe oko,
Jeżli świat cały poznać ma ochotę;
Niechaj nakoniec zstępuje głęboko,
By poznać rzeczy istotę.
Tylko wytrwałość prowadzi do celu,
A w zupełności jasność się znajduje,
Ważniejsza od tych i od innych wielu
Prawdą przepaść zamieszkuje.

A. Wójcicki.